PRZED STARTEM
DO KRAJOWYCH ZAWODÓW

ZA MIESIĄC odbędą się w Warszawie I Ogólnopolskie Zawody Minikarów. Wielu naszych czytelników posiadających zbudowane przez siebie minikary zgłosiło już swój udział w zawodach. Pragniemy wybrać się do niektórych z Was osobiście, aby się bliżej poznać, obejrzeć pojazdy. Chcielibyśmy jeszcze przed zawodami zaprezentować Was na stronach gazety wszystkim czytelnikom.

UWAGA, MINIKAROWCY! Jeśli macie zdjęcia swoich pojazdów, przyślijcie je jak najszybciej do naszej redakcji. Możecie także krótko opisać pracę nad swoim pojazdem. Zdjęcia i opisy wydrukujemy w „Świecie Młodych" pod hasłem: Minikary na start! To samo hasło napiszcie na kopercie, w której wysyłać będziecie materiały. Czekamy!

Towarzysz FELIKS

Przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. W jednej z ławek wileńskiego gimnazjum siedzi szczupły chłopak z zamyślonymi oczami, wysokim czołem, krótkimi zaczesanymi do tyłu włosami i czarnym, ledwo co wysypującym się pod nosem wąsikiem. Nazywa się Feliks Dzierżyński.

Do szkoły przyjechał z Dzierżyniowa w oszmiańskim powiecie, gdzie 11 września 1877 roku przyszedł na świat w zubożałej szlacheckiej rodzinie. Chciałby tu, w Wilnie, przede wszystkim znaleźć odpowiedź na pytania zaprzątające jego myśli jeszcze w domu rodzinnym, kiedy słuchał opowiadań matki o bestialstwach carskiego satrapy, Murawjowa „Wieszatiela", zaprowadzającego krwawy „porządek" na Litwie po upadku Powstania Styczniowego.

C. d. na str. 4–5

Świat MŁODYCH
GAZETA HARCERSKA

Nr 72 (2168) 8 września 1972 r. Cena 50 gr

JÓZEK I JEGO KRÓLE

MIESZKA we wsi Nadarzyce w powiecie wałczańskim, jest uczniem VIII klasy, nazywa się Józek Tkaczuk. Od ponad roku z pasją zajmuje się hodowlą królików. Piękne białe angory podbijają serca wszystkich, którzy je oglądają. Zachwycił się nimi i zastęp „Sokołów", który Józek prowadził w czasie wakacji. Najciekawsze zbiórki — to te z królami. Karmienie ich, zmienianie podściółki, a i pogłaskać można białe futerko — to nie byle jaka frajda. Autorytet, jako zastępowy, zdobył więc Józek murowany. Naśladownictwo dozwolone! (ek)

Foto: Kajetan Adamowski

13-LETNIA TATIANA... STUDENTKĄ

Kilka dni temu pomyślnie złożyła egzaminy wstępne na kijowski uniwersytet 13-letnia Tatiana Dworak. Dziewczynka będzie najmłodszą studentką tej uczelni. Mała Tatiana ubiegała się o przyjęcie na wydział mechaniczno-matematyczny. Nie jest ona pierwszą osobą w rodzinie, która tak wcześnie rozpoczyna wyższe studia. Jej 16-letni brat Sasza (pisał o nim „Świat Młodych") ukończył szkołę średnią mając 14 lat i od dwóch lat jest studentem kijowskiego uniwersytetu, a młodszy Władimir, który ma dopiero osiem lat, chodzi już do czwartej klasy!

(jk)

Milicyjna KONNA

Wydawałoby się, że w nowoczesnym mieście nie ma już miejsca dla koni. Siłę mięśni zwierząt zastąpiły przecież konie mechaniczne. A tu nagle — człowiek na koniu...

Okazuje się, że w niektórych przypadkach człowiek bez pomocy zwierzęcia jest bezradny. Tym razem koń współdziała z milicją. Konna Milicja pełni w Warszawie służbę reprezentacyjną i patrolową. **(patrz str. 3)**

NIEPOKÓJ NA WYSPIE AFRODYTY

We wschodniej części Morza Śródziemnego leży wyspa, na której temat co jakiś czas ukazują się w światowej prasie publikacje zawierające w tytułach niepokój, konflikt, groźbę wojny. Inne opiewają, jej piękno, starożytne zabytki, kulturę, atrakcje turystyczne. Jest to Cypr, zwany także wyspą Afrodyty, gdyż, jak głosi mitologia grecka, właśnie u południowych wybrzeży Cypru, w rejonie Paphos, narodziła się z morskiej piany Afrodyta — bogini miłości i piękności.

Cypr jest wyspą o powierzchni 9251 km. kw, liczącą około 640 tys. mieszkańców. 80% ludności stanowią Grecy i 18% Turcy.

W starożytności wyspa ulegała kolonizacji egipskiej, fenickiej i greckiej. Od 58 r. p.n.e. stała się posiadłością rzymską, następnie bizantyjską. W 1192 r. powstało samodzielne królestwo cypryjskie. Pod koniec XV w. wyspa została podbita przez Turków i ponad trzysta lat znajdowała się pod ich panowaniem. Stąd dziś tak znaczny procent tureckiej ludności na Cyprze. Przez ostatnie osiemdziesiąt lat (do 1960 r.) Cypr znajdował się pod panowaniem brytyjskim. Po uzyskaniu niepodległości w sierpniu 1960 r. na wyspie wybuchł konflikt między ludnością grecką i turecką, który trwa z różnym natężeniem do dziś.

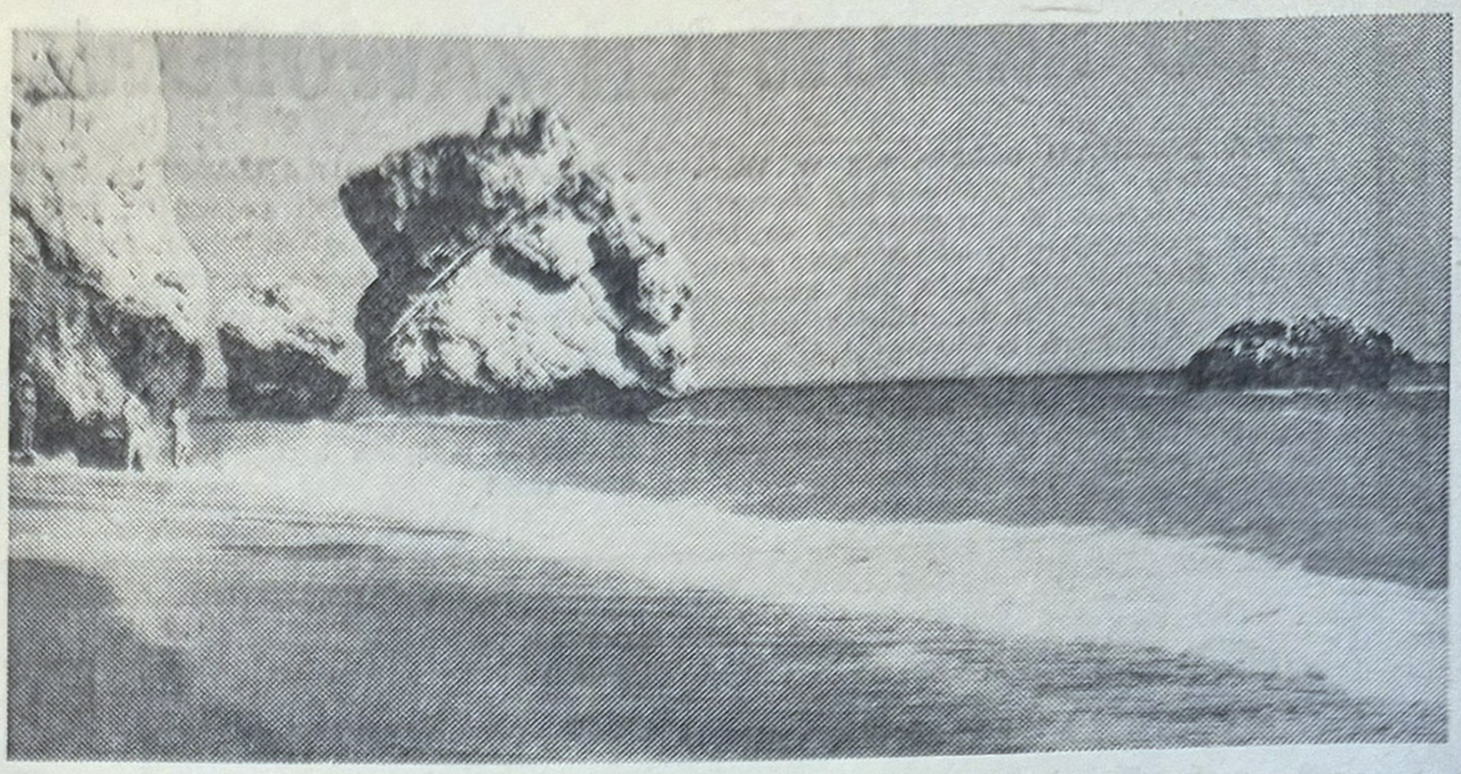

W tym miejscu, jak głosi legenda, narodziła się z morskiej piany grecka bogini miłości i piękności — Afrodyta.

PRZYCZYNA KONFLIKTU

Przez długie wieki, mimo nawarstwień historycznych, które pogłębiły odrębności narodowościowe, cypryjscy Grecy i Turcy żyli na wyspie w zgodzie. Kiedy w wyniku walki narodowo-wyzwoleńczej skierowanej przeciw brytyjskiemu panowaniu Cypr uzyskał niepodległość, Anglicy postanowili zasiać wśród Cypryjczyków niepokój, skłócić z sobą Greków i Turków. Udało im się to osiągnąć po ustanowieniu statusu Republiki Cypryjskiej, której „ofiarowano" konstytucję wyraźnie faworyzującą Turków. Chociaż jest ich na wyspie 120 tysięcy wobec 500 tys. Greków — konstytucja przyznawała Turkom 30% miejsc w parlamencie, nominalne stanowisko wiceprezydenta, a także — co najgorsze — prawo veta w szeregu podstawowych kwestii. Ponadto w administracji, wojsku i policji zarezerwowano dla tureckiej mniejszości aż 40% stanowisk.

Życie na wyspie regulowane tak niesprawiedliwą dla Greków konstytucją, narzuconą im przez Londyn charakteryzował chaos gospodarczy i polityczny. Kiedy prezydent Makarios w 1963 roku zaproponował parlamentowi wniesienie 13 poprawek do konstytucji, które miały uczynić ją sprawiedliwą również dla ogromnej większości mieszkańców Cypru, półmilionowej rzeszy Greków, wówczas Turcy poczuli się zagrożeni w swych przywilejach i chwycili za broń. Rozpoczęła się wojna domowa. Od grudnia 1963 roku do września 1964 roku — na całej wyspie toczyły się gwałtowne walki (ponownie wybuchły one w listopadzie 1967 r.). W tym też czasie Turcy przystąpili do tworzenia własnych organów administracyjno-politycznych, oraz enklaw, w których skupiano, poprzez przesiedlanie, ludność turecką. Wrzenie ogarnęło całą wyspę...

Nie udało się Anglikom pod koniec swego panowania na wyspie przekształcić jej w brytyjski „niezatapialny lotniskowiec" wymierzony przeciw krajom arabskim, ale za to pozostawili Cypr jako dryfującą minę na Morzu Śródziemnym. Pozostawili ją w ogniu wojny domowej, w której chcieli upiec własne pieczenie.

W INTERESIE IMPERIALISTÓW

ŻEBY lepiej zrozumieć charakter brytyjskiej — czytaj: imperialistycznej — polityki wobec Cypru (gdzie Anglicy usytuowali swoje bazy wojskowe) oraz określenie wyspy jako dryfującej miny grożącej wybuchem, trzeba naświetlić następujący problem:

Na Cyprze działają skrajnie nacjonalistyczne koła greckie (popierane nie tylko przez Anglików), pragnące realizacji wysuniętego w okresie walki z panowaniem brytyjskim hasła Enosis, czyli połączenia Cypru z Grecją. Turcy zaś zawsze byli i są nadal przeciwni temu. Czegóż bowiem dobrego mogliby się spodziewać od Greków po takim rozwiązaniu sprawy?

Tymczasem Turcy cypryjscy ze swej strony domagają się m. in. autonomii dla społeczności tureckiej i utworzenia na Cyprze federacji dwóch narodów, czyli podziału wyspy na dwie części.

Zarówno jednym, jak i drugim rozwiązaniem bardzo zainteresowani są imperialiści, gdyż umocnienie wpływów Grecji czy Turcji (oba te państwa należą do paktu wojskowego NATO) na Cyprze gwarantowałoby zamienienie jej w jedną wielką bazę wojskową skierowaną przeciw państwom arabskim i krajom socjalistycznym.

PREZYDENT MAKARIOS PROPONUJE

Prezydent Cypru, arcybiskup Alekios Makarios, rzecznik pełnej niepodległości i niezawisłości wyspy wysunął następujące zasady rozwiązania skomplikowanego problemu cypryjskiego:

1. Cypr musi pozostać państwem niepodległym i jednolitym, jakiekolwiek podziały wyspy na część grecką i turecką, bądź federacji obu narodów są sprzeczne z interesami Cypryjczyków i nierealne, bo trzeba by przesiedlić tysiące ludzi.

2. Zmiana konstytucji winna być przeprowadzona w takim duchu, by likwidując przywileje Turków nie uszczuplała ich praw narodowych; proponuje się szeroką autonomię tureckiej mniejszości w dziedzinie kultury, religii, oświaty itp.

Oficjalnie popierają ten program wszystkie greckie partie i ugrupowania polityczne na Cyprze, włącznie z komunistyczną partią AKEL.

BŁĘKITNE HEŁMY NA CYPRZE

Ostry konflikt między Grekami a Turkami cypryjskimi spowodował decyzję Rady Bezpieczeństwa ONZ o wysłaniu na Cypr sił zbrojnych. Oddziały „błękitnych hełmów" stacjonujących na Cyprze składają się w 1/3 z żołnierzy brytyjskich, w 1/3 z irlandzkich i kanadyjskich, a w pozostałej 1/3 z mniejszych kontyngentów szwedzkich, duńskich, fińskich i austriackich. Siły ONZ rzeczywiście zapewniają na tym terenie zachowanie spokoju, nie dopuszczają do wybuchu wojny między dwiema zwaśnionymi stronami, zapobiegają powstaniu otwartego konfliktu, który mógłby mieć groźne konsekwencje międzynarodowe.

Na zdjęciu: kanadyjski żołnierz z oddziałów ONZ.

Poczynając od popołudniowej sjesty, aż do późnych godzin wieczornych męska część ludności Cypru dyskutuje w ulicznych kawiarenkach na nurtujące całą wyspę tematy polityczne. Jak wybrnąć z tak trudnej sytuacji? Oto fragment ulicy w Limassolu, porcie na południu Cypru.

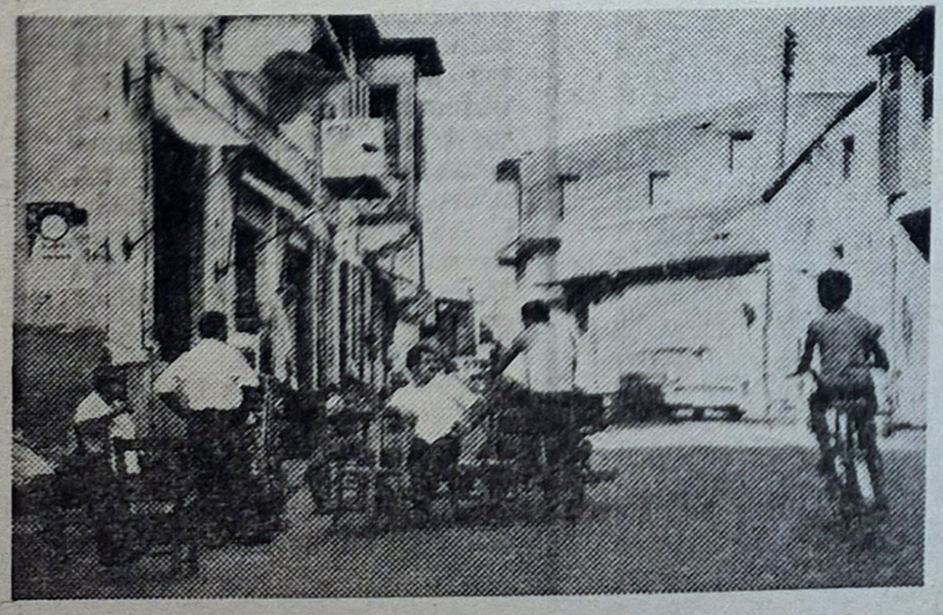

W rejonie Limassolu, na wrzynającym się w morze półwyspie Akrotiri Anglicy, od niedawna kolonialni władcy Cypru, założyli potężną bazę wojskową. Większość oficerów mieszka wraz ze swoimi rodzinami w mieście, w takich oto pięknych domach.

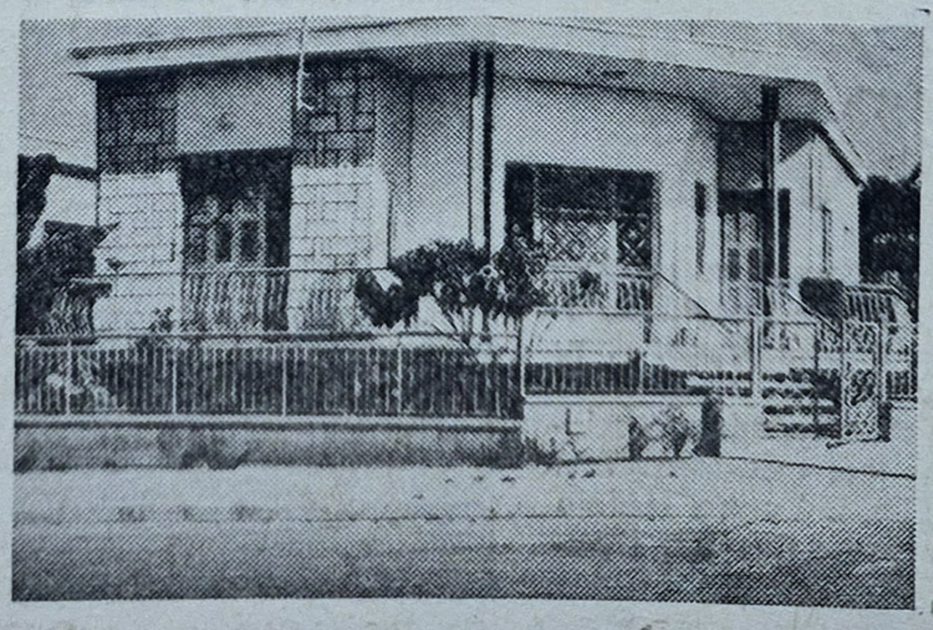

Tekst i zdjęcia:
JERZY KASPRZAK

Milicyjna KONNA

Piękne konie, półkrwi angielskiej, są szybkie i zwrotne. Tam gdzie nie dotrze patrol samochodowy czy motocyklowy, dojedzie zawsze patrol konny. Na bezdrożach, w terenie lesistym koń jest bardziej przydatny niż pojazd mechaniczny. Zapewnia większą operatywność działania i lepszą widoczność...

Konie przyjęte do milicyjnej służby jeszcze do niedawna hasały na rozległych równinach stadnin. Dziś są podkute i chodzą pod siodłem. Niełatwo było im się przyzwyczaić do ulicznego ruchu. Wałach „Impuls" bał się początkowo tramwai, a klacz „Halka" najdłużej ze wszystkich koni nie mogła przywyknąć do pędzących samochodów. Ale tak było w pierwszych dniach. Dziś konie nie zwracają już prawie zupełnie uwagi na hałas i jadące pojazdy. Nieraz tylko w czasie rozgrzewki przypomina im się stadnina...

„Interesant", „Uczennica", „Bór", „Bello", „Intendent" i „Wojsław" stoją na zbiórce. — Równaj! Odprawa przed wyruszeniem na służbę.

— Dziś wypłata, zwróćcie uwagę na piwoszy przy ulicy Tamka — mówi do milicjantów dowódca.

Zadaniem Konnej Milicji jest patrolowanie parków i terenów peryferyjnych trudno dostępnych dla patroli zmotoryzowanych. Ale zdarza się, że trzeba wskazać drogę zbłąkanemu turyście.

Tekst i zdjęcia:
WŁADYSŁAW JUZWIK

Renata przy pracy

Renata — MODELARZ NIETYPOWY

Sklejka, skrawki blachy, kolorowe metale, maleńkie żaróweczki, druty nawojowe, większe i mniejsze lutownice — oto materiały i narzędzia, którymi z upodobaniem posługuje się Renia Olchała. Jest uczennicą pomaturalnej szkoły maszyn cyfrowych we Wrocławiu, ale jej hobby to modelarstwo kolejowe, a szczególnie budowa makiet nowoczesnych dworców, stacji rozrządowych, węzłów kolejowych. Na budowanych przez nią modelach poruszają się po miniaturowych torach maleńkie parowozy, elektrowozy, drezyny, wagoniki, cysterny. Formują się pociągi, wyruszają z dworców, zatrzymują pod semaforami. Automatyczne zwrotnice, samoczynne szlabany na przejazdach, kolorowe światełka wolnego wjazdu i zakazu. Wszystko jak na prawdziwej kolei, tylko znacznie mniejsze...

Skomplikowanym ruchem przy pomocy miniautomatów kieruje oczywiście z dużą znajomością rzeczy sama Renata, konstruktorka wszystkich tych przemyślnych urządzeń. Na Ogólnopolskiej Wystawie Modelarstwa Kolejowego we Wrocławiu zbudowana przez nią makieta dworca zdobyła wyróżnienie. Obecnie modelarka, która swoimi zainteresowaniami zdobyła sobie we Wrocławiu już pewną sławę, buduje dużą makietę kolejową, po której poruszać się będzie jednocześnie aż 10 pociągów! Oczywiście działanie semaforów, blokad, zwrotnic, przejazdów, stacji też będzie zautomatyzowane i, jak zapewnia młoda konstruktorka, o żadnej katastrofie nie może być nawet mowy. Gotowa, zostanie wystawiona na dorocznej wystawie we Wrocławiu w Klubie Modelarstwa Kolejowego.

— Budową makiet, zainteresowałam się przed trzema laty — mówi Renata. *— Mój brat dostał w prezencie małą kolejkę, kilka wagoników i parowóz. Żeby zabawa była ciekawsza, zbudowałam mu makietę z kilkoma torami, budynkiem dworca, przejazdami. Później, gdy we Wrocławiu powstał Klub Modelarstwa Kolejowego przy Lidze Obrony Kraju, zapisałam się na zajęcia modelarskie. Ostatnio ukończyłam już kurs instruktorski i wcale nie uważam, że modelarstwo to zajęcie dobre tylko dla chłopców.* (sjw)

Zdjęcia: M. Kalinowski

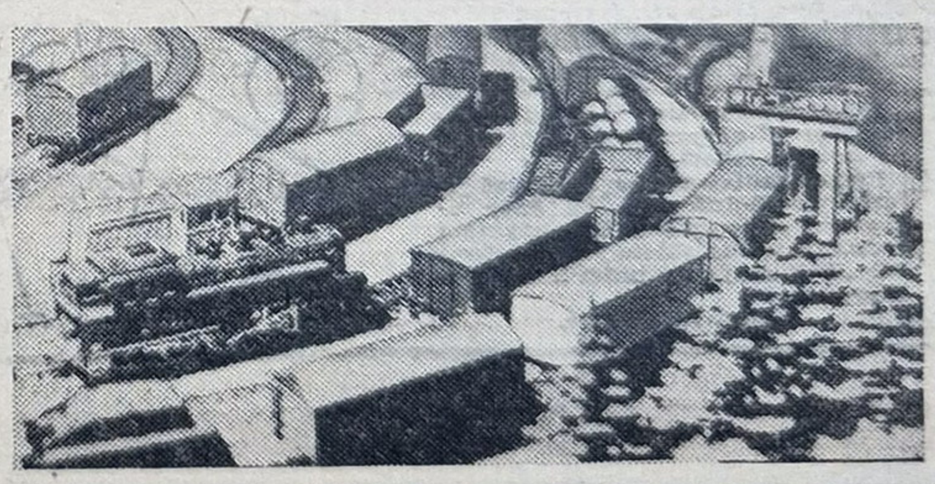

Fragment makiety przygotowywanej na wystawę.

Kto nie lubi szkolnych tarcz?

Z INFORMACJI Ministerstwa Oświaty wynika, że w stosunkowo już niedługiej przyszłości znikną kłopoty i rozterki tych wszystkich uczniów, którzy nie lubią nosić szkolnych tarczy. Najprawdopodobniej od przyszłego roku szkolnego zamiast nich każdy będzie mógł przypiąć do kołnierza, czapki, paska... mały metalowy znaczek z numerem swojej szkoły.

Trwa w tej chwili konkurs na projekt takiego znaczka. Jest to konkurs zamknięty, Ministerstwo Oświaty zaprosiło do udziału w nim dzieci i młodzież z 10 klubów i grup plastycznych z całego kraju.

Ciekawe, co wymyślą Wasi koledzy? Zaprojektowany przez nich znaczek musi być wykonany z metalu, mieć maksimum trzy kolory, wielkość 3x3 lub 3x4 cm, dowolny kształt, musi zawierać kolejny numer szkoły (w powiatach zostaną one ponumerowane), będzie na nim uwzględnione miejsce na jakiś symbol charakterystyczny dla danego województwa, lub typu szkoły. Projektanci muszą przygotować 3 wersje znaczka — dla szkół podstawowych, średnich ogólnokształcących i zawodowych.

Sam konkurs ma być zakończony pod koniec października, specjalna komisja, w skład której wejdą pedagodzy i plastycy dokona wstępnego wyboru spośród nadesłanych projektów i te z nich, które przejdą przez to pierwsze sito eliminacji zostaną poddane pod dyskusję w kilku szkołach. Uczniowie sami więc zdecydują, jaki znaczek najbardziej im odpowiada. (ek)

MODA NI W PIĘĆ NI W JEDENAŚCIE

Moje tajemnice

— Czy wiesz, że bardzo modne są spódnice i bluzki w stylu „western"? — Jolka była ogromnie podniecona swoim odkryciem.

— To stwarza ogromne możliwości, no bo pomyśl tylko — mówiła zapalając się coraz bardziej — co można zrobić z trzech małych resztek kretoniku od sasa do lasa, ni przypiął, ni przylatał, jak to się mówi!?

— Nic — mruknęłam ponuro.

— A nieprawda, można uszyć świetną spódnicę à la „western" — takie są teraz najmodniejsze. Łączy się ze sobą dwie różne kraty lub dwa wzory — w kwiatki lub kropki. Fason jest ważny, rozumiesz? Spódnica musi być długa, lekko poszerzona od bioder, z doszytą przymarszczoną falbaną. Bluzeczka też taka romantyczna, z marszczeniami, bufkami i haftem angielskim.

— Mam trzy kawałki kretonu ni w pięć, ni w jedenaście — wykrzyknęłam z zachwytem — w sam raz na spódnicę i bluzkę „western"!

Kuba

Spróbuj rozwiązać

JAK MAJĄ NA IMIĘ?

Przyjrzyjcie się uważnie rysunkom i odgadnijcie jak mają na imię te dzieci.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na pocztówce: „Jak mają na imię?". Do rozlosowania:

bony książkowe.

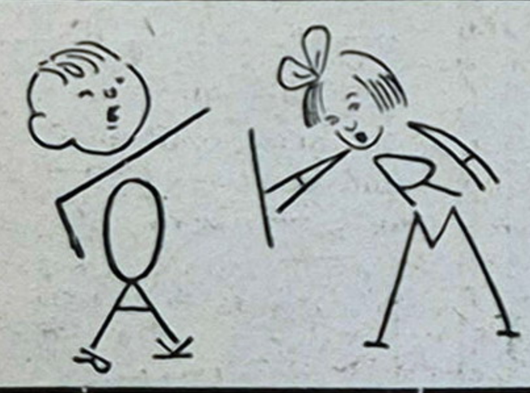

C. d. ze str. 1

Dopiero w siódmej klasie, kiedy w 1894 roku wstępuje do socjaldemokratycznego kółka samokształceniowego, doznaje olśnienia. Z wypiekami na twarzy czyta potajemnie broszury wyjaśniające idee naukowego socjalizmu i cele walki robotników. Teraz już wie, że znalazł to, czego szukał.

W rok później wstępuje w szeregi robotniczej partii, Socjaldemokracji Litewskiej, zaczyna sam organizować kółka wśród terminatorów w warsztatach i fabrykach. Występuje z gimnazjum, zostaje robotnikiem w introligatorni. Uważa, że należy *„być bliżej mas robotniczych i samemu z nimi uczyć się"*. Po roku działalności w Wilnie partia wysyła go jako młodego, ale już doświadczonego działacza do Kowna.

O przeżyciach z tych lat napisze później: *„...każdy gwałt, o którym słyszałem lub który widziałem, zmuszanie do mówienia po rosyjsku, zmuszanie do chodzenia do cerkwi w dni galowe, system szpiegostwa itd. — byl jakby gwałtem nade mną samym i wtedy przysiągłem z gromadką innych walczyć z tym złem aż do ostatniego tchu..."*.

Rewolucyjnej działalności oddaje się Feliks bez reszty, jest głęboko przekonany o słuszności drogi, którą wybrał. Boleśnie przeżywa jednak rozejście się z rodziną. *„Przeszłość nas łączy, lecz bieg życia wciąż nas odpycha..."* — zwierzy się kiedyś z tej rozterki w liście pisanym z więzienia do siostry.

TĘSKNOTY I UCIECZKI

W Kownie w 1897 roku towarzysz Feliks zostaje po raz pierwszy aresztowany. Później — jeszcze pięciokrotnie. W więzieniach i na zesłaniach spędza 11 lat, blisko ćwierć życia.

W tym przymusowym odosobnieniu najciężej przeżywa bezczynność. *„Cóż Wam mam pisać? — że tęsknię za krajem — o tym wiecie! Nie udało im się wyrwać kraju i sprawy mej, i wiary z mej duszy i przez tę wiarę i tę tęsknotę żyję..."*

A ma już taki charakter, że to, co czuje, to i czyni. Jeśli więc tylko trafia się okazja, ucieka z zesłania. Trzykrotnie, bez względu na trudy, odległości...

Rok 1901. Dzierżyński znajduje się w drodze na pięcioletnie zesłanie do Wilujska w Syberii Wschodniej. Na punkcie etapowym w Wiercholeńsku razem z Rosjaninem, Sładkopiewcowem organizuje ucieczkę.

O północy z domu, gdzie umieszczono ich na nocleg, wykradają się i korzystając z ciemności nocy docierają do rzeki. W napięciu czekają, aż jakiś rybak skończy rozstawiać swoje sieci i pójdzie do domu. Wreszcie mogą spuścić na wodę czółno. Energicznie zabierają się do wiosłowania, prąd rzeki jest ich sprzymierzeńcem. Byle dalej, byle dalej...

Oddalili się już jakiś kawałek, kiedy dobiegł ich łoskot spadającej wody. Natrafili na wodospad. Na przeprawę tracą mnóstwo czasu. Zaczyna dnieć. Gęste poranne mgły chronią wprawdzie przed niepożądanymi spotkaniami, ale i widoczność zmniejszają do kilku metrów. Nie spostrzegli się nawet, kiedy zwisający nad rzeką konar strącił ich nagle do wody. Łódź porwał prąd. Czyżby koniec nadziei?

Na przekór pechowi skończyło się szczęśliwie. Chłopi, którym przedstawili się jako wędrowni kupcy, opowiadając o przygodzie, jaka ich spotkała i o utracie majątku, uwierzyli im i dopomogli zdobyć konie. W ten sposób po kilku dniach podróży tajgą i stepem dotarli do kolei.

NA CZELE REWOLUCJI

W 1900 roku z inicjatywy Feliksa Dzierżyńskiego nastąpiło połączenie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego ze Związkiem Robotniczym Litwy i

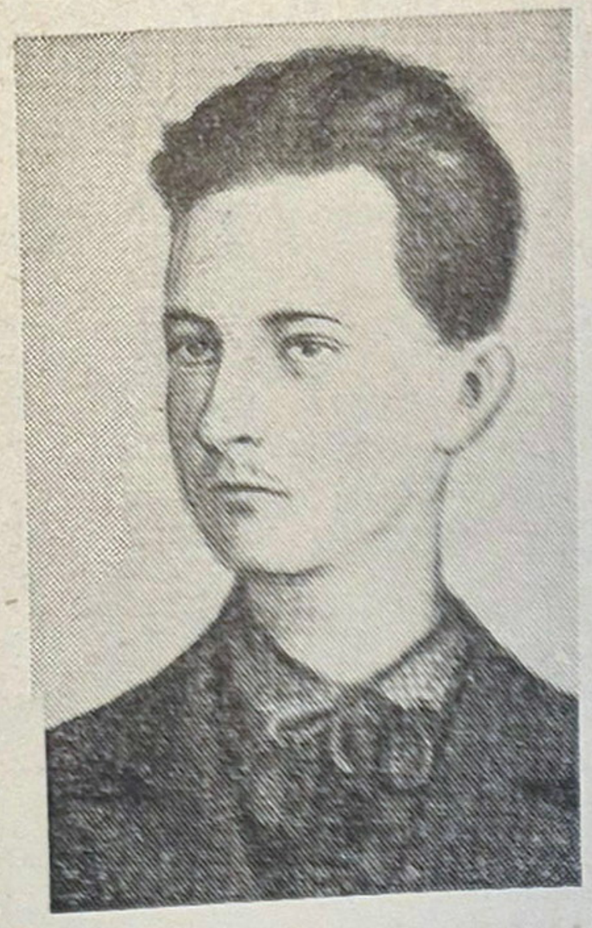

Tow

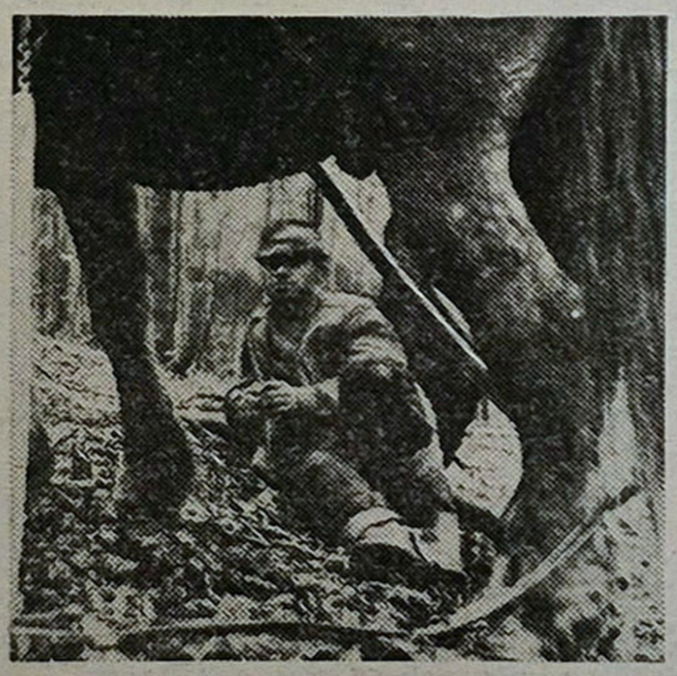

Krótki odpoczynek pod końskim brzuchem, który w razie czego i od deszczu osłoni. Stanisław Pluciński pracuje w Parku Konnym Wołosate dopiero pół roku.

DALEKO W POLSCE

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC

NAJNOWSZYM budynkiem w Wołosatem jest kuźnia, największym — stajnia. 24 masywne konie odpoczywają w niej po pracy przy zwózce. Ciężka to praca — zwożenie drewna po bieszczadzkich leśnych bezdrożach! Ciężka dla ludzi i koni. Bieszczadzkie złoto — drewno trzeba jednak sprowadzać z gór w ten nienowoczesny, lecz jedynie na razie możliwy sposób.

Wołosate leży w samym kącie Bieszczadów, niedaleko granicy państwa, w bok od Ustrzyk Górnych, słowem tam „gdzie diabeł mówi dobranoc" — daleko od ludzi, w lesie. Osadę tworzą trzy rodziny, w małym hotelu robotniczym mieszka kilku wozaków, brygadzista Bolesław Zieja dojeżdża do pracy z Pszczelin. Raz w miesiącu przyjeżdża ze Stuposian nadleśniczy — odbywa się wtedy narada.

— Jestem jak wierzba — mówi o sobie brygadzista, p. Bolesław Zieja — mogę „rosnąć" wszędzie, ale żona do dziś w Bieszczadach „przyjąć się" nie może, choć tu już parę lat żyjemy...

— Pamiętam, kiedy jeszcze w rzekach pstrągów było w bród, teraz ich z mikroskopem szukać... Ale woda w Wołosatem czyściutka i dziś, jak mało gdzie.

Zaglądam do stajni. Odpoczywa w niej 10 spracowanych koni, reszta znajduje się w lesie.

— Ewa, Franio, Bejrut — stajenny rad z pogawędki przedstawia je po kolei. O koniach mówi jak o dobrych znajomych.

— O, ten jest z humorami! Bokiem trzeba koło niego chodzić, ostrożnie. I z ludźmi tak bywa... — dodaje. Konie odwracają głowy, oglądają się, stajenny zaś mówi dalej: — Kowal ma przy nich stale robotę, na

Towarzysz FELIKS

rewolucyjną częścią Socjaldemokracji Litewskiej w jedną partię: Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. Feliks zmuszony po ostatniej ucieczce do wyjazdu zagranicę działa teraz w Komitecie Zagranicznym SDKPiL. W 1903 roku zostaje wybrany do Zarządu Głównego partii.

Na wieść o wybuchu rewolucji 1905 roku wraca natychmiast do Warszawy i wpada w wir rewolucyjnej roboty. Staje się czołowym przywódcą robotników polskich w dniach rewolucji. Organizuje strajki powszechne i wielotysięczne manifestacje, zajmuje się osobiście organizacją nielegalnych drukarni, składów literatury, transportem broni, występuje na zgromadzeniach i zebraniach robotników i chłopów w całym kraju.

Jesienią, w czasie największego nasilenia nastrojów rewolucyjnych towarzysz Feliks przybywa do Sosnowca, gdzie trwa strajk w kopalni „Renard". Udaje się do kopalni, by przemówić do robotników. Ugodowcy — obawiając się, że zachęci on górników do dalszej rewolucyjnej walki — usiłują nie dopuścić go do głosu. Stoi więc dłuższy czas na prowizorycznej trybunie.

Wtem na placu zaczyna się zamieszanie, przybywa wezwane przez właściciela wojsko. Oficer podjeżdża do Dzierżyńskiego i pyta, co tu robi. Feliks najspokojniej odpowiada, że robotnicy zebrali się w sprawie podwyżki zarobków. Oficer rozgląda się niepewnie dokoła i w obawie przed tłumem, nie bardzo licząc na swoich żołnierzy, wśród których również szerzą się nastroje rewolucyjne, wraz z wojskiem opuszcza plac. A Dzierżyński teraz już spokojnie wygłasza przemówienie, dlaczego wszyscy robotnicy powinni solidarnie walczyć i jaki program walki proponuje jego partia.

W rok później, kiedy rewolucja zakończy się klęską, a on sam znajdzie się znowu w więzieniu, do przygnębionych współtowarzyszy niedoli powie:

— Droga do zwycięstwa klasy robotniczej prowadzi tylko przez porażki w walce.

U PROGU SPEŁNIONYCH MARZEŃ

Z ostatniego pobytu w więzieniu wyzwala go w Moskwie rewolucja lutowa 1917 roku. Natychmiast włącza się do pracy partyjnej, jest jednym z czołowych współorganizatorów zwycięskiej rewolucji socjalistycznej. Zostaje wybrany do kierowniczego Ośrodka Partyjnego, który przygotowuje zbrojne powstanie robotników, staje na czele piotrogrodzkiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. 7 listopada dowodzi zdobywaniem poczty i telegrafu.

Staje u progu spełnienia swoich marzeń. Ale najważniejsze dopiero ma się zacząć. Trzeba od podstaw stworzyć zupełnie nowe państwo rządzone przez robotników i chłopów. Trzeba przekonać dla tej idei tych wszystkich, w imieniu których została dokonana rewolucja. Tymczasem nad wyniszczonym wojną krajem wisi widmo głodu. Wrogowie rewolucji podburzają społeczeństwo usiłując winą za ten stan obarczyć organizatorów rewolucji. Mnożą się zbrojne spiski, sabotaże powodują dalszą dezorganizację gospodarki, pogarszanie i tak ciężkich warunków życia ludności.

Rewolucja musi się bronić. Nie może pozwolić sobie na żadną pobłażliwość wobec wrogów, jeśli chce ocalić swoje zdobycze, uratować ludzi pracy od jeszcze większych nieszczęść. W grudniu 1917 roku zostaje powołana Ogólnorosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Sabotażem. Otrzymuje ona prawo zastosowania w walce z wrogami rewolucji wszelkich represji.

Jej przewodniczącym zostaje towarzysz Feliks. Jest to wyraz ogromnego zaufania ze strony kierownictwa partii i osobiście Lenina, że Dzierżyński wykaże dostateczną energię i zdecydowanie w walce z wrogami, że nie nadużyje bez potrzeby tak rozległych uprawnień.

Po jego śmierci Komitet Centralny partii napisze o tym okresie jego działalności, że *„wykazywał nadludzką energię, pracując na swej placówce dniami i nocami, nocami i dniami, bez snu, bez jadła, bez najmniejszego wytchnienia"*.

Towarzysz Feliks jest osobiście tam, gdzie najtrudniej. Kiedy w lecie 1918 roku zostaje prowokacyjnie zamordowany niemiecki poseł w Moskwie, hrabia Mirbach, podejrzewając, że zabójstwa dokonał jeden z działaczy partii p.n. Lewicowi Socjaliści Rewolucjoniści, sam udaje się do ich siedziby, by przeprowadzić dochodzenie i aresztować mordercę. Nie wie jeszcze, że jest to pierwsze ogniwo wielkiego spisku przeciw władzy radzieckiej. Kiedy zostaje otoczony i rozbrojony przez podbuntowanych przeciwko bolszewikom, podpitych marynarzy, ani na chwilę nie wykazuje wahań, usiłuje ich przekonań, że dali się namówić do zdrady rewolucji.

Bo Feliks nigdy nie zawodzi. Na spiski i sabotaż odpowiada represjami, winnych kontrrewolucyjnych zbrodni spotyka kara śmierci, ale jednocześnie czyni wszystko, by „koszta własne" rewolucji były jak najniższe.

W 1919 roku ogłasza wezwanie: *„Ogólnorosyjska Komisja Nadzwyczajna ostrzega niniejszym po raz ostatni tych wszystkich, którzy przez własną nieostrożność lub łatwowierność zostali wciągnięci do organizacji białogwardyjskiej. (...) wzywa te osoby, by zgłosiły się w ciągu tygodnia, gwarantuje, iż nie spotka ich najmniejsza kara...* A w 1920 roku z jego inicjatywy została podjęta uchwała: *„Rozgromienie kontrrewolucji wewnętrznej i zewnętrznej, zlikwidowanie największych tajnych organizacji kontrrewolucjonistów i bandytów oraz osiągnięte w ten sposób umocnienie władzy radzieckiej pozwala nam obecnie zaniechać wobec wrogów władzy radzieckiej najwyższego wymiaru kary (tj. rozstrzelania)..."*.

Zdając sobie sprawę z tego, że na gwałt rewolucja może odpowiadać tylko gwałtem, represje traktował towarzysz Feliks jako smutną konieczność okresu wojny domowej.

NA FRONCIE ODBUDOWY

Na plan pierwszy wysuwają się teraz zadania odbudowy gospodarki. Wśród nich najpilniejsze — uzdrowienie transportu. Bez odbudowy i uruchomienia kolejnictwa nie można marzyć o zaopatrzeniu miast w żywność, fabryk — w surowiec i opał, wsi — w towary przemysłowe i narzędzia rolnicze. Nie można podnieść kraju z ruin.

Dzierżyński zostaje mianowany ludowym komisarzem transportu. Nowe zadanie podejmuje z taką samą energią jak wszystkie poprzednie. Zdaje sobie sprawę, że nie jest fachowcem w tej dziedzinie. Stawia więc na specjalistów, stara się ich pozyskać, dać im dużą samodzielność i powierzyć pełną odpowiedzialność. Jak dawniej wierzy w skuteczność osobistej kontroli i interwencji.

Z Donbasu otrzymuje meldunek, że nie docierają transporty z budulcem. Udaje się osobiście na miejsce. Na jednej ze stacji natrafia na poszukiwane pociągi całkowicie obrabowane. Wzywa do siebie naczelnika stacji.

— Pociąg obrabowali zdemobilizowani żołnierze. Na opał... — tłumaczy się wystraszony kolejarz.

— Dlaczego nie poświęciliście jednego wagonu, żeby uratować cały transport?

— Nie miałem takiego rozporządzenia.

Przez twarz towarzysza Feliksa przebiegają skurcze gniewu, ale po kilku sekundach opanowuje się. Potem dość długo rozmawiają jeszcze ze sobą i wreszcie uśmiechnięty naczelnik stacji opuszcza wagon Dzierżyńskiego.

— To dobry człowiek — zwierzy się towarzysz Feliks swoim współpracownikom. — Tylko zabito w tych ludziach wszelką inicjatywę. Próbowałem nauczyć go myśleć...

Człowiek rzeczywiście okazał się dobry. Nazajutrz wyruszyły pierwsze pociągi z budulcem. A ta historia — to nie epizod w życiu Dzierżyńskiego, to była jego metoda. Stawiać na ludzi! Po trzech latach takich wysiłków transport funkcjonował już normalnie. Towarzysz Feliks zostaje przewodniczącym Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej. Odbudowie i organizacji radzieckiego przemysłu poświęcił ostatnie lata swego życia.

Zmarł 20 lipca 1926 roku. Miał zaledwie 49 lat. *„Kto żyje jak ja* — napisał kiedyś — *długo żyć nie może; ja nie umiem na wpół nienawidzieć czegoś lub kochać, ale (...) nie życie mnie, lecz ja życie złamałem, nie ono mnie zużyło, lecz ja go użyłem pełną piersią..."*

Odszedł przedwcześnie spośród żywych. Ale wśród wielkich postaci, które Polska dała rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu, pozostał gwiazdą pierwszej wielkości.

JERZY MAJKA
Rys. M. Kościelniak

Deresz i Gniady są już solidnie zmęczone, w lesie nie mogły uszczknąć nawet drobnej trawki! Po nierównym terenie trudno jest ciągnąć spięte łańcuchami polana.

Foto: K. Adamowski

tych wertepach podkowy długo nie trzymają.

Gdy wozacy zjeżdżają z gór z ostatnim ładunkiem drewna, koniska zmęczone są okrutnie! Raz przyjechali z telewizji. Uplanowali sobie sfilmować, jak wyprzęga się konie i prowadzi je prosto do stajni. Gdzie tam! Za skarby ich się tak od razu nie wpędzi! Muszą się najpierw odprężyć, takie są zgłodniałe, że trawę szarpią wprost z ziemią. Smakuje im lepiej niż owies. Dobre koniska, mocne, inne by rady nie dały! Rasa sokólska — wyjaśnia.

Wozacy z Parku Konnego Wołosate pracują różnie: jeden jest tu już z 10 lat, ale inni tak długo nie wytrzymują, miejsca nie zagrzeją, nie przywykną do ciężkiej roboty i odludzia. Zarobek mają niezły, ale życie w tej głuszy nielekkie. Stołówki brak, nie ma gdzie co zjeść gotowanego... Do sklepiku i chleba czasem świeżego nie dowiozą... Gotują sobie ludziska, jak potrafią. A po ciężkiej robocie zjeść trzeba dobrze!

Zwózka drewna w Bieszczadach trwa cały rok. Drewno ma różne zastosowanie, wiadomo. Część idzie do obróbki już na miejscu w niedalekich tartakach, reszta wędruje w Polskę. (ag)

Czytanka sprzed XXII wieków

Pracownicy naukowi Uniwersytetu Columbia w Stanach Zjednoczonych natrafili podczas segregowania archiwaliów na niewielki papirus z tekstem starogreckim. Okazało się, że jest to wyjątek z dwunastej pieśni „Odysei" Homera, w której Febus zanosi do Zeusa skargę na Odyseusza i jego towarzyszy. Naukowcy ustalili, że urywek został napisany na papirusie w III w. przed naszą erą.

Papirusem zajął się prof. Willys. Ustalił on, że fragment różni się w pewnej mierze od klasycznego tekstu, co tłumaczy tym, że stanowi on odpowiednio opracowany i dostosowany do potrzeb szkolnych tekst z „Odysei", przeznaczony do specjalnej „czytanki", którą posługiwali się uczniowie greccy w III w. p.n.e. (jk)

TELEFON ZAUFANIA

2 STANISŁAWA PLATÓWNA Rys. J. Rocki

Doktor Michał Werner wjeżdżając w ulicę Zapolskiej, odetchnął z ulgą. Zdążył! Niewielki parking przed teatrem był pełny, samochody stały ciasno stłoczone, jeden przy drugim — znak, że przedstawienie jeszcze trwało.

Był w połowie parkingu, gdy dosłyszał stłumiony grzmot oklasków i trzask otwieranych drzwi. Zrozumiał, że zdążył dosłownie w ostatniej minucie. Za chwilę publiczność zacznie opuszczać teatr.

Zajął dogodne do obserwacji miejsce i nie spuszczał oka z dwóch stojących na parkingu Trabantów. Był i trzeci, ale miał rejestrację opolską, nie wchodził więc w rachubę.

Wahadłowe drzwi wejściowe rozwarły się z trzaskiem i na plac przed teatrem wysypali się pierwsi widzowie.

Chodnikami i jezdnią szło coraz więcej ludzi, teatr pustoszał szybko, późna pora i zła pogoda nie sprzyjały pogawędkom i spacerom. Z parkingu raz po raz wyjeżdżał jakiś samochód i lawirując ostrożnie wśród uskakujących prawie spod kół ludzi, ruszał w kierunku ulicy Świerczewskiego.

Doktor Werner podniecony, zdenerwowany zszedł z chodnika i stanął przy białym Trabancie. Odruchowo położył dłoń na klamce, pogładził lśniącą, niklowaną rączkę.

— Przepraszam pana — usłyszał czyjś niezbyt uprzejmie brzmiący głos — czy pan pozwoli, że wsiądę do swego samochodu?

Doktor Michał odwrócił się szybko i powiedział.

— Proszę o wybaczenie. Czekam tu na pana... Na państwa — poprawił się dostrzegłszy za plecami mężczyzny kobietę w ciemnym płaszczu i kapeluszu.

— Czeka pan na nas? — powtórzył mężczyzna. — O co chodzi? Kim pan jest?

— Nazywam się Werner, jestem lekarzem. Czekam na pana, jeśli... jeśli ma pan szesnastoletniego syna — powiedział doktor i natychmiast zdał sobie sprawę z niewłaściwości zwrotu. Trzeba było zacząć inaczej, podobne wrażenie musiał odnieść właściciel Trabanta, bowiem zmierzył intruza nieprzychylnym spojrzeniem i powiedział szorstko.

— Mój panie, nie mam czasu na żarty. Proszę mnie przepuścić!

— To nie są żarty. Pytam, czy ma pan szesnastoletniego syna? To sprawa poważna! — Werner nie zdając sobie z tego sprawy podniósł głos. Kilka przechodzących osób obejrzało się z ciekawością.

Mężczyzna nie zdążył odpowiedzieć, bo stojąca za nim kobieta przycisnęła nagle do ust obie ręce i krzyknęła.

— Stefan! Coś się stało ze Stefanem! — chwyciła kurczowo ramię męża.

— A więc macie państwo syna... — zaczął Werner, ale kobieta przerwała mu, pytając gorączkowo.

— Co się stało? Miał wypadek?! Jest chory? Widzisz — zwróciła się do męża — nie trzeba było iść do teatru, mówiłam ci, miałam jakieś złe przeczucia.

— Uspokój się, jeszcze nie wiemy, czy coś się stało — powiedział mąż podtrzymując ją troskliwie — może nareszcie wyjaśni nam pan, o co chodzi?

— Muszę zadać państwu jeszcze jedno pytanie — powiedział doktor Werner — muszę upewnić się, że jesteście tymi ludźmi, których szukam. To będzie pytanie drażliwe.

— Słucham — rzucił mężczyzna wyjmując papierosy i szukając zapałek.

— Czy syn państwa jest dzieckiem adoptowanym? — spytał cicho doktor.

Mężczyzna syknął i rzucił zapałkę, która sparzyła mu palce.

— Dlaczego pan o to pyta? — rzekł zmienionym głosem.

Doktor Werner uznał, że najwyższy czas odkryć karty. Minuty płyną, a tymczasem...

— Powiem krótko. Jestem jednym z lekarzy dyżurujących stale przy „telefonie zaufania". Słyszeli państwo zapewne o tej instytucji... Przed niespełna godziną zadzwonił szesnastoletni chłopiec. Wie od niedawna, że jest adoptowany. Przeżył szok. Nie powiedział o sobie prawie nic. Tylko tyle — „rodzice są w teatrze, wrócą «mydelniczką»". Mydelniczka to Trabant, wie pan chyba o tym. Tylko w Teatrze Polskim jest dzisiaj przedstawienie. W ten sposób was odnalazłem. Ale potrzebna mi jest pewność. A więc?...

— Tak — powiedział jakoś niechętnie, opornie mężczyzna — Stefan nie jest naszym rodzonym dzieckiem. Adoptowaliśmy go, gdy miał cztery miesiące.

— Ależ on o niczym nie wiedział! — wybuchnęła nagle kobieta. — Nie mógł się dowiedzieć! To niemożliwe, to jakaś pomyłka...

— I ja tak sądzę — poparł ją mąż — doceniam pańskie intencje, ale mam wrażenie, że zaszło nieporozumienie. Nasz syn...

— Wasz syn — przerwał mu szorstko doktor Werner — jest u progu załamania psychicznego. Przeżył straszliwy wstrząs. Być może w tej chwili opuszcza dom. Musimy się śpieszyć. Niech pan rusza, pojadę za panem.

Nie jechali długo. Po paru minutach Trabant zatrzymał się na rogu Inżynierskiej, a Syrena tuż za nim. Werner wysiadł z samochodu i podszedł do zamykającego wóz mężczyzny.

— Czy mogę wejść z państwem do mieszkania? — spytał.

— Proszę.

Kobieta spojrzała w górę i powiedziała z ulgą.

— Chyba nic się nie stało, jest światło w pokoju Stefana i...

— Zobaczymy — przerwał jej mąż — chodźmy.

Zgrzytnął klucz przekręcany w zamku, zaskrzypiały otwierane drzwi, kobieta wydała cichy okrzyk.

Przedpokój oświetlony piękną, kutą w metalu lampą, imitującą staroświeckie latarnie, wyglądał strasznie. Podłogę zalegały płaszcze, szaliki, pantofle, parasole... Kobieta przeskoczyła zwał rozrzuconych rzeczy i pchnęła białe drzwi. Stanęła w progu pokoju, chwilę patrzyła w ciemne wnętrze, potem odwróciła się i powiedziała cicho z widoczną ulgą.

— Nic się nie stało. Śpi.

Doktor Werner prawie krzyknął.

— Śpi?! Więc syn państwa jest w domu?!

— Ciiicho — szepnęła kobieta — nie trzeba jej budzić.

— Jej?

— Mamy jeszcze córkę — wyjaśnił mężczyzna nie patrząc na doktora — ma dopiero sześć lat, jej urodzenie graniczyło z cudem, żonie dawno powiedziano, że nie może mieć dzieci, dlatego adoptowaliśmy Stefana. Żona po powstaniu warszawskim trafiła do obozu, tam... — urwał, potarł czoło, wreszcie otworzył następne drzwi i powiedział — proszę.

Teraz dopiero, po wejściu do dużego, jasno oświetlonego pokoju na jego twarzy odbił się popłoch. Pokój, do którego weszli obaj, przywodził na myśl huragan, tornado, trzęsienie ziemi lub inne bezmyślne a niszczycielskie siły przyrody.

Szafy były otwarte, wszystkie rzeczy leżały na podłodze, stosy książek piętrzyły się przed biblioteką. Szuflady biurka były wysunięte, jedna z nich nosiła ślady wyłamania. Stół zalegały rozsypane fotografie. Na wierzchu leżało ładne, pocztówkowe zdjęcie przekreślone na krzyż grubymi, czerwonymi krechami.

Doktor zbliżył się do stołu i spojrzał na zdjęcie. Dwoje dorosłych ludzi a pośrodku mały, może dziesięcioletni chłopak. Szczęśliwa, uśmiechnięta rodzina. Czerwone, grube krechy krzyżowały się na twarzy dziecka...

— Boże!

Usłyszał zmieniony, ochrypły szept i odwrócił się szybko w stronę mężczyzny, który pochylony nad wyłamaną szufladą, gwałtownymi ruchami przerzucał znajdujące się tam drobiazgi. Gdy podniósł głowę i spojrzał na doktora, jego twarz była blada.

— Pistolet. Nie ma mojego pistoletu — wykrztusił z trudem.

— Spokojnie — Werner ścisnął go za ramię — matka nie może o tym wiedzieć. Co to za pistolet? Nabity?

— Pamiątka z partyzantki, Parabellum, kaliber 9 mm. Nie był nabity, ale miałem kilka naboi.

— Są na miejscu?

— Nie.

— Szybko. Uprzątnąć szuflady — szepnął rozkazująco doktor Werner — ona tu idzie. Ani słowa... — ścisnął jeszcze silniej ramię mężczyzny. Nie zdążyli uprzątnąć biurka. W ostatniej chwili Werner zasłonił rozbitą szufladę, stawiając przed biurkiem wysoki fotel z oparciem. Na progu stanęła kobieta wciąż jeszcze ubrana w płaszcz i kapelusz. Trzymała w ręku kartkę papieru.

— On... się... dowiedział — powiedziała głucho.

Mąż podbiegł, wyjął ostrożnie z zaciśniętych kurczowo palców kartkę, rzucił na nią okiem i podał doktorowi.

C.d.n.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Zam. 3439. A-65

Łowcy AUTOGRAFÓW

Reprezentantka Czechosłowacji — Ewa Mazikowa jest jeszcze w doskonałej formie. Nie przeczuwa, że za chwilę tłum łowców autografów przyciśnie ją do muru i biedaczka ledwie żywa będzie się ratować ucieczką. Foto: K. Adamowski

W dniach Międzynarodowego Festiwalu Piosenki nasz rodzimy Sopot stał się miastem rozbrzmiewającym różnojęzycznym gwarem.

Na deptaku w okolicach sopockiego mola, przed Grand Hotelem i przy wejściu do Opery Leśnej codziennie gromadził się tłum żądny zetknięcia się oko w oko z zagranicznymi przybyszami. Szczytem szczęścia było oczywiście zdobycie fotosu z dedykacją lub choćby tylko samego autografu.

Intrygowali mnie ci łowcy autografów. Znałam już kilku takich sprzed Grand Hotelu. Tkwili godzinami przed hotelem lub przy wejściu do Opery czyhając na odpowiedni moment, by „prysnąć" biletерowi pod ręką i dostać się chyłkiem na upragniony, z góry upatrzony teren.

— Ciekawa jestem, w jaki sposób ci łowcy autografów zdobywają te cenne dla siebie trofea? — powiedziałam do koleżanki, a ona odpowiedziała krótko:

— Gdybyś była gwiazdą, to byś się dowiedziała!

I wtedy wpadłam na szatański pomysł.

Od głównego charakterystora festiwalu, pana Edwarda Kubackiego pożyczyłam perukę o długich blond włosach. Poprosiłam go, by zrobił mi odpowiedni makijaż. W garderobie zdobyłam barwne wdzianko, szerokie jedwabne spodnie i pasek z błyszczącymi wisiorkami. Na nogi założyłam złote klapki z pękami sztucznych wisien.

Tak przyozdobiona zagadałam koleżankę:

— Kogo ci przypominam?

— Od biedy możesz uchodzić za Szwedkę lub Finkę, ale musisz jeszcze nałożyć na oczy te ogromne, słoneczne okulary. Rozumiesz, zasłonią ci pół twarzy...

Wtajemniczona w moje plany koleżanka — również dziennikarka — postanowiła mi pomóc.

— Ja będę twoim „impresario" — powiedziała. — Doprowadzę cię do łowców autografów i zagadam do ciebie cokolwiek, byle w obcym języku.

— Proszę cię, tylko w angielskim lub niemieckim, bo inaczej wpadnę... — zastrzegłam się.

— Nie martw się, możesz nawet nic nie mówić poza „o key" lub „very good". Wystarczy!

Wyszłyśmy przed Grand Hotel. Tłum zareagował w miarę chłodno. Ale już przed parkingiem, gdzie zatrzymałyśmy się niezdecydowanie, popatrzył na nas bystro jakiś młodzian. Przybliżył się.

— Oho — pomyślałam sobie — źle! Zaraz zacznie szukać w programie mego fotosu i oczywiście nie znajdzie... Kompromitacja!

Koleżanka zagadała do mnie szybko po angielsku...

No i zaczęło się! Młodzian już był przy nas i bez słowa wetknął mi długopis w rękę, podsuwając jednocześnie notesik.

Od tej chwili nie wyjmowałam pióra z ręki. Podawano mi programy, karteluszki, notesiki. Słyszałam krzyki nadbiegających.

— Złapali kogoś! Zdaje się, że Szwedkę! Chodź prędko może zdążymy!

Tłum gęstniał. Nie widziałam nic, tylko wyciągające się ku mnie ręce z długopisami.

Zaczęłam się cofać. Nie było to jednak takie łatwe. Za sobą miałam murek parkingu, przed sobą napierającą zbitą gromadę młodzieży w różnym wieku.

— Jeszcze chwilę a zadepczą mnie i siebie — myślałam przerażona, a koleżanka odpierała ataki, tłumacząc, że musi „gwiazdę" czyli mnie, odprowadzić na obiad.

Perswazja nie skutkowała. Migało mi w oczach, drętwiała ręka, pot lał mi się z czoła, okulary mętniały...

— No, dosyć tego dobrego!!! — zawołałam nagle najczystszą polszczyzną, a tłum raptem oniemiał. Zawisły w powietrzu długopisy, zatrzepotały kartki programów...

Po południu podeszłam do grupki młodzieży oglądającej swoje zbiory.

— Dużo masz już zebranych autografów? — spytałam tego samego chłopca, którego już poznałam rano.

— Dużo. Chyba ze 20.

Przejrzałam notesik. Widniało w nim wiele, przeważnie nieczytelnych podpisów. Chłopak nie potrafił zidentyfikować żadnego autografu.

— Po co więc je zbierasz?

— Jak to po co? Żeby się pochwalić przed kolegami.

— A wy? — spytałam 15-letniej Bogusi i jej 12-letniej siostry Beaty.

— My mamy już ze 40 podpisów — powiedziały z dumą.

— No, np. ten autograf: „Pour la petite fille — Eva". Czy wiesz, kto ci to napisał?

— Pewnie Czeszka, bo ma takie swojskie imię...

— No wiesz — przerwała Bogusia, przecież to podpis Hiszpanki.

— Nie ważne kto podpisuje, ważne by podpis był „zagraniczny" — uciął dyskusję piegowaty dryblas. — U nas w szkole tylko takie się liczą...

— A co potem robicie ze swymi zbiorami?

Odpowiedziało mi milczenie.

Po powrocie do Warszawy opowiedziałam moim przyjaciołom — 12-letniej Dorocie i 14-letniemu Wojtkowi swoje spotkania z łowcami autografów.

— A wy jak to robicie? — spytałam wiedząc, że i oni są namiętnymi łowcami „sławnych podpisów".

Jak Dorota i Wojtek zbierają autografy dowiecie się wkrótce.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

TU ODCIĄĆ

WÓDZ „CZERWONA CHMURA"

W SPÓŁPLEMIEŃCY — Indianie z plemienia Ogalalla — nazywali go „Czerwoną Chmurą", biali osadnicy zaś „Red Cloud". Zasłynął jako jeden z wielkich bojowników o wolność, o prawa Indian do swych macierzystych terenów.

W połowie XIX wieku, po szlakach wytyczonych przez traperów, przez prastare indiańskie ziemie zaczęli posuwać się pionierzy osadnictwa. Za nimi pociągnęło wojsko. Wreszcie pobiegły tędy pierwsze linie kolejowe.

Red Cloud, najwyższy w tym czasie wódz Dakotów, nie podpisał w 1865 roku traktatu z rządem amerykańskim o przepuszczaniu karawan białych osadników przez terytoria indiańskie. Wiedział, że zgoda na to będzie dla Indian zgubą.

Ale biali nie ustępowali. Zaprosili wodzów indiańskich w rok później do Fortu Laramie na dalsze pertraktacje. Zerwane one jednak zostały przez Czerwoną Chmurę. Dowiedział się bowiem, że generał A. B. Carrington z oddziałem żołnierzy buduje na ziemi Indian łańcuch fortów dla ochrony osadniczych karawan.

Czerwona Chmura wkroczył na ścieżkę wojenną, a wraz z nim tacy wodzowie jak Szalony Koń i Długa Szyja. Na zew „Red Clouda" około 20.000 wojowników zebrało się nad rzeką Goose Creek.

Od połowy lata 1865 roku, gdy generał Carrington rozpoczął budowę Fortu Kearny — Czerwona Chmura i jego wojownicy nie dawali spokoju jego żołnierzom: rozgramiali małe oddziałki przeciwnika, osaczali i likwidowali drwali, uprowadzali białym konie i bydło.

21 grudnia Czerwona Chmura rozgromił duży oddział żołnierzy z fortu pod dowództwem kpt. Fettermana. Generał Carrington, dowódca fortu, wysłał specjalnego gońca po odsiecz do Fortu Laramie. Ten, przedzierając się przez tereny penetrowane przez Indian, dotarł do Laramie w wigilię Bożego Narodzenia. Wkrótce do Kearny wyruszyły cztery kompanie piechoty i wozy z zaopatrzeniem.

Oddziałem dowodził pułkownik Wessels, który miał zastąpić Carringtona, postawionego w stan oskarżenia.

Zima ciągnęła się długo. Czerwona Chmura, nieubłagany wróg

MAŁA KSIĘGA INDIAN STR. 21

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

„Drogi Rzepiszku" — tak właśnie nazwała mnie Irka Iwko, pisząc, że tym zdrobnieniem mego imienia chce podkreślić swoją sympatię do mnie. I ja też natychmiast poczułem do Irki wielką sympatię, bo tak ładnie i z takim uczuciem jeszcze nikt mnie nie nazwał!

Kazik Chodur napisał do mnie bardzo ciekawy list. Kazik jest miłośnikiem wszelkich rozrywek umysłowych i ma w swoich zbiorach wiele ciekawych rzeczy. Oto palindrom ze zbiorów Kazika:

„I L E W E R W Y W R E W E L I"

Wspaniały okaz palindromu! A teraz HOMONIM (wyraz mający identyczne brzmienie z innym wyrazem a znaczenie zupełnie inne):

„Jeśli wśród gości: gości nuda,
Przyjęcie raczej się nie uda!"

Kazik prosi wszystkich miłośników rozrywek umysłowych, żeby napisali do niego. Podaję adres: Kazimierz Chodur ŻARÓW powiat Świdnica, ul. Mickiewicza 5/1.

*

Ktoś nie podpisany przysłał mi niezły literkowy rysunek:

Nie zapominajcie o mnie! Piszcie!

Wasz RZEP

— Znowu zaczytałaś się babciu...

Rys. Włodzimierz Lewiński

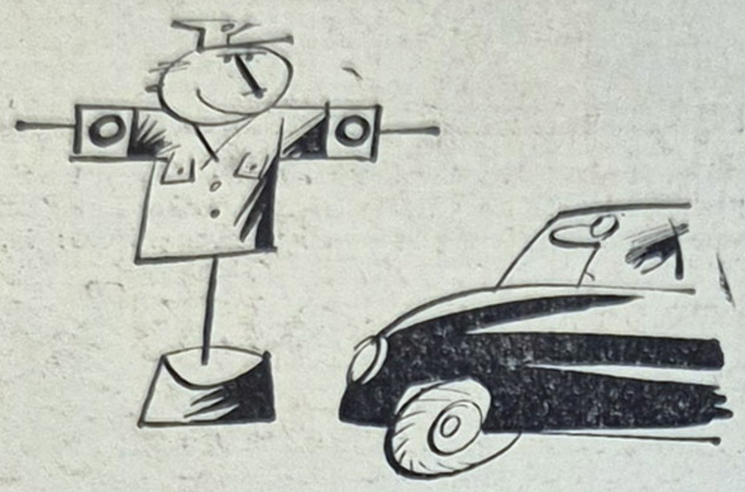

— Mogę wam, dzieci, powiedzieć, z którego wieku jest ta baszta, ale gdzie tu można siusiu, tego nikt nie wie.

Wyszperał Roman Krywyj

WYSZPERANE DLA RZEPA

— Dlaczego nie wsiadasz, nie słyszałeś komendy: „na koń"?

— Bo to melduję, kobyła, panie sierżancie.

Wyszperał Andrzej Stawski

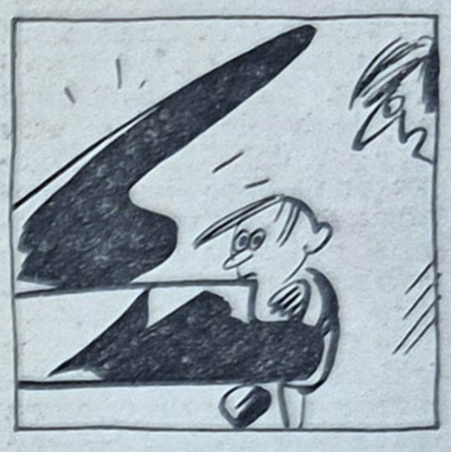

— Graj głośniej synku, niech wszyscy słyszą, że jesteśmy ludzie kulturalni...

Wyszperała Elżbieta Małecka

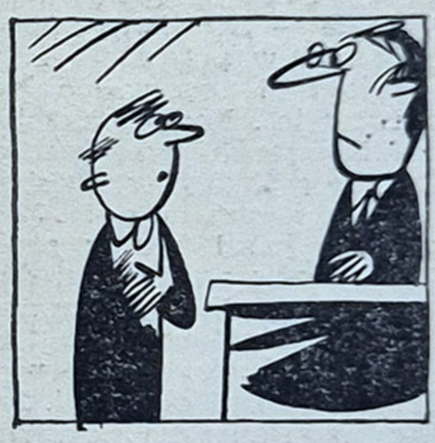

— Heniu, jak udowodnisz, że ziemia jest kulą?

— Ja tego nigdy nie twierdziłem, panie profesorze.

Wyszperał xxx

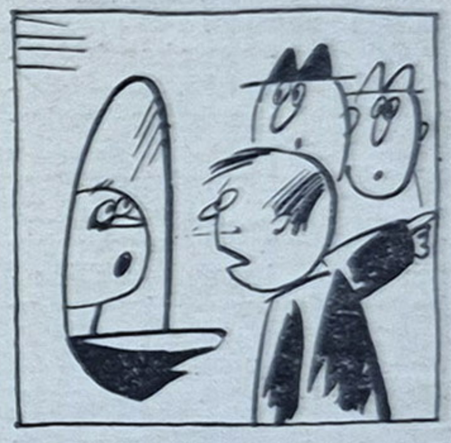

— Proszę pana, niech pan stanie na końcu kolejki!

— Kiedy tam już ktoś stoi...

Wyszperała Lucyna Kuźmicka

Nagrodę „Szperacza Tygodnia" otrzymuje Lucyna Kuźmicka

TU ODCIĄĆ

białych, nie odstępował ani na chwilę od oblegania fortu, chociaż opuściły go liczne grupy Indian, udając się do swoich wiosek na zimowe leże.

Odstępstwo to miało zresztą także inne przyczyny poza obawą przed mrozem. Jeden z wodzów zaczął zazdrościć Czerwonej Chmurze sukcesów wojennych i w pewnym momencie spróbował nawet pertraktować z pułkownikiem Wesselsem. Układy spaliły na panewce, gdyż Indianie za cenę uzyskania pokoju chcieli otrzymać strzelby i amunicję. Sprawa ta tylko umocniła autorytet Czerwonej Chmury.

Indianie w dalszym ciągu oblegali fort, jeszcze przez czerwiec i lipiec. W sierpniu Czerwona Chmura postanowił zadać białym cios, który jak przypuszczał, przyniesie mu sukces równy zwycięstwu nad Fettermanem. Pod rozkazami Szalonego Konia, Długiej Szyi oraz innych słynnych wodzów w obozie Czerwonej Chmury zgromadziło się około dwu tysięcy wojowników.

W tym czasie z fortu wyruszył oddział drwali, pod komendą kapitana Jamesa Powella.

Zwiadowcy donieśli, że w okolicznych lasach roi się od Indian, Powell przygotował się zatem odpowiednio. Wozy do transportu drzewa zostały celowo zbudowane z desek, które jeśli nie osłaniały przed kulami, to w każdym razie chroniły od strzał. Powell kazał przewrócić czternaście wozów i ustawić jeden przy drugim, tak, iż utworzyły rodzaj owalnego ogrodzenia. Żołnierze ustawili się wewnątrz; przed paru dniami otrzymali nowe karabiny typu „springfield", wszyscy byli poza tym uzbrojeni w „colty". Amunicji nie brakowało. Powell nie musiał długo czekać: 2 sierpnia o świcie grupa młodych wojowników podkradła się do stada i rozpędziła konie. Był to zaledwie początek ataku.